

— Schody spadziste? Co?
 — Wystarczy — uśmiechnął się porozumiewawczo.
 — A prosić ich po naszymu — zaśmiał się — nie żałować mordy i żeber.
 — Chłopcy wiedzą, to nie pierwsza robota — skinął rozjaśniony pomocnik.
 — To dobrze, jak inni sprawią się tak samo po cyrkulach, zdusimy bunt przed południem. Nieprawdaż?

Obydwaj pochylili głowę z wielkim wzruszeniem, mrużąc:

— Tak jest wasza wielmożność.
 — Komisarz skinął głową pomocnikowi, a gdy drzwi się zamknęły, rzekł do szpiega:

— Hadziar ty sprytny człowiek, nagrodzę cię, ale tego inteligenta muszę dostać w moje ręce, już ja z nim poigram — i oczy zabłyśły mu dziko.

— Rad postarać się, wasza wielmożność.
 — Staraj się czy nie, ale tak być musi, słyszysz?

— Tak jest.
 — Wmieszasz się w tłum, będziesz w pobliżu tego agitatora, i żywcem go brać. Rozumiesz?
 — Policja mnie usłucha... ale kozacy, ale wojsko, wasza wielmożność...

— Twoja w tem głowa... wywieś znak.

— Pójdę według rozkazu — skłonił głowę — a może Pan Bóg mi pomoże.

— Bez agitatora nie pokazuj się... a teraz idź!

Komisarz z wolna naciągnął białe rękawiczki, zapiął je starannie, cenil bowiem wysoko elegancję w ubiorze, opatrzył rewolwer, i po chwili wyszedł na ulicę w otoczeniu dwóch policyantów umundurowanych i czterech w cywilnym przebraniu, aby zbadać wykonanie swych rozkazów.

Tymczasem do grupy manifestantów pod wodzą Koli, którzy wyszli z domu, poczęły się przyłączać inne grupy i tłum do dwustu robotników, z rozwiniętymi sztandarami, w zwartych szeregach ruszył Wolską ulicą ku rogatkom, niezatrzymywany przez strażników.

Pochód wszedł na Chłodną i setki głosów wzniosły wojenną pieśń proletaryuszów, Czerwony Sztandar.

I w takt tej bojowej pieśni tłum posuwał się dalej, a do manifestujących przyłączali się ciekawi, sympatyzujący, kobiety, tłumy dzieci.

Policyanci ustępowali z posterunków, patrole się cofały w boczne ulice, co napawało robotników dumą i przekonaniem, że ich postawa, ich odwaga onieśmiela policję i wojsko.

Kola stopniowo z pierwszego szeregu został zepchnięty w głąb, a dojrzawszy Wandę, przedarł się ku niej i szli razem, ramię obok ramienia, rzucając sobie w chwilach przerwy pieśni, słowa zapалу i radości.

Wchodzili obok Placu Wolskiego, gdzie z tłumem połączyli się manifestanci ze strony ulicy Towarowej, tak, że tłum urósł do tysiąca ludzi, a że parli wszyscy naprzód, obawiając się odcięcia, Logika wraz z gromadą swych towarzyszy została zepchnięta ku końcowi.

Już pierwsze szeregi przeszły przecznice, utworzoną przez ulicę Wronią, gdy koniec pochodu był przy Placu Wolskim. Pieśń brzmiała bez przerwy z tysiąca piersi, pełna zapалу i ognia.

I nikt nie wstrzymywał pochodu, nikt nie wzywał do rozejścia się, stójkowi znikali z posterunków, patrole schodziły z drogi, wchodząc w przyległe kamienice. Wszystkie okna, balkony kamienic przy ulicy Chłodnej były pełne ludzi, z niektórych rzucano kwiaty na przechodzących, śpiewano wraz z manifestantami, zdawało się, że cała ulica rozbrzmiała pieśnią tryumfu i zwycięstwa.

Na balkonie pierwszego piętra kamienicy narożnej, Żelaznej i Chłodnej, którą posuwał się manifestujący tłum, stał komisarz, i wzrokiem tygrysim patrzył na śpiewających, po chwili spochmurniał i rzekł do oficera obok stojącego:

— Ot żal, że nie dopuściłem ich chociaż do Walicowa przynajmniej.

— Dlaczego?

— Bo część za Wronią może ująć, ale czort wiedział, że tyle zbierze się tej swoloczy.

— Możeby dać znać.
 — Zapóźno — westchnął, ale po chwili nachylając się zawołał do konnego żandarma — w skok dać znać kozakom na Karolkowej i Przyokopowej, aby zamknęli Chłodną po pierwszych strzałach i parli w górę.

— Słucham — salutował i bódł konia ostroga. Zamknięte na głucho bramy, zastanowiły Kola i szepnął o tem Wandzie. Słowa te musiał posłyszeć idący za nim towarzysz, bo śmiejąc się do broduśznie, zawołał głośno:

— Zamknęli się burżuje!
 Kola odwrócił się i spotkał się z oczyma badawczymi Hadziara, a one mimowolnie wzbudziły w nim podejrzenie. Po kilku krokach odwrócił się i znów spostrzegł, że ten towarzysz nie odstępował od niego, mimo wzmagającego się ścisku, który parł na boki.

Tłum rozentuzjasmowany, pewny ustępstwa policji i wojska, powtarzał zwrotkę pieśni.



My zwyciężymy, bo za nami prawda i sprawiedliwość!

Komisarz na balkonie zmrużył oczy, aby lepiej widzieć, nagle odwrócił się i ręką w białej rękawiczce dał znak żołnierzom, stojącym pod kamienicami, aby ustawiali się w szeregu, a gdy ci z wolna szli, wrzasnął:

— Stoj! Zwarł się szereg w poprzek ulicy, co widząc pierwsi z manifestantów, wstrzymali się i cały tłum zakotłował się.

— Co tam?
 — Naprzód!
 Takie głosy przedarły się przez pieśń śpiewaną i pierwsza fala ruszyła.

Na sekundę przed szeregiem wojska stanął komisarz i zawołał:

— Rozejście!
 Mało kto słyszał i rozumiał jego rozkaz, a nikt z manifestantów.

Komisarz usunął się w bok i zakomenderował:

— Palboju!
 Błysnęły w słońcu lufy, czarne wyloty karabinów skierowały się na tłum, słychać było suchy trzask zamków, huk, i wybiegła błyszcząca nitka, zagwizdały kule, dźwięczały szyby tłuczone, posypał się tynk z kamienic.

Tłum się zawahał, zakotłował, kilku padło na

ziemię, inni zawiśli na rękach towarzyszy, wszeźdali się krzyk, jęk, przekleństwa, a nad tem wszystkim jeszcze ulatywała pieśń.

— Palboju!
 Rozkazał komisarz. I znów zagwizdały kule, a zanim tłum się zorientował, wpadli kozacy, siekąc na prawo i lewo knutami.

Za kozakami znów zwarł się tłum i szedł naprzód, lecz zagroziły mu drogę nastroszone bagnety piechoty i wymierzone lufy karabinów.

I wśród jęku, płaczu, krzyku, kłatw, wrzasków kozackich, rozdzierającego lamentu ranionych i zgniecionych, wyrwał się okrzyk:

— Ratuń się kto może!
 Cofano się do bram, lecz te były zamknięte, jak również sklepy i sklepiki, uderzono w okna parterowe i kto mógł wskakiwał do mieszkań.

I znów rozległy się przeraźliwe okrzyki kozackie, krzyk rozpaczliwych i duszonych, gdyż od strony Karolkowej i Przyokopowej wpadli kozacy.

Przy pierwszym strzale pochwycił Kola Wandę za rękę i starał się przedostać pod mur kamienicy, w jakieś wgłębienie bramy. Przerażony tłum parł także w tę stronę i stanął murem. Po drugim strzale jeden z robotników, niedaleko Wandy krzyknął przeraźliwie, kula strzaskała mu ramię i gwiżdżąc, opaliła kapelusz Wandy, a w tejże sekundzie runął z boku robotnik z rozwaloną czaszką. Ludzie odskoczyli, uważając to miejsce, jako niebezpieczne, a Kola z Wandą znaleźli się we wgłębieniu bramy. Z całych sił nacisnął Kola furtkę, zapiszczała, wygięła się, ale nie puściła. Spojrzał w okno i dostrzegł kilku znajomych towarzyszy.

— Hej! Wywalmy furtkę! — zawołał zachęcająco — uratujemy się!

Przyskoczyli co bliżsi, wsparli się silnie ramionami, i furtka jęknęła, zazgrzytała zamek, gdy jeden z towarzyszy krzyknął zachęcająco:

— Razem chłopcy!
 Hadziar pilnujący Koli rzekł na to drwiąco:

— Nie ujdziecie, za bramą żołnierze.

— A psu bracie, szpiclu, a ty skąd wiesz o tem — zawołał wysoki, silny robotnik, pochwyciwszy Hadziara za piersi.

W tej chwili nadleciał kozak, smagając knutem, a że dwaj zacieźtrzewieni stali, ciął w twarz zwróconego ku sobie Hadziara. Tryśła krew z rozciętej knutem rany, a robotnik potrząsł nim, rzucił go na ziemię. Wtem właśnie furtka z trzaskiem i hałasem upadła, a Kola wciągnął w głąb sieni bladą Wandę. A gdy towarzysze biegli w głąb podwórza, kryjąc się po oficynach. Kola z Wandą poszli frontowymi schodami.

Na pierwszym piętrze spostrzegł na błyszczącej blasze znane mu nazwisko pułkownika artylerji i nie wahając się, zadzwonił.

Otworzył mu dieńszczyk, którego spytał tonem rozkazującym:

— Pułkownik Paweł Nikiforowicz w domu?

— Niema.

— A pani pułkownikowa?

— Wyszła.

— Chyba panna Wiera Pawłowna w domu — a na potakującą minę dieńszczyka krzyknął: — uśpij się, zamelduj — i podał bilet wizytowy.

Za Kola i Wandą zamknęły się drzwi.

Ogłuszony uderzeniem i upadkiem Hadziar miał jednak dość siły do zerwania się w chwili, gdy Kola zniknął we furtce wyłamanej, i chwiejny, party przez innych dostał się do kamienicy. Chciał skrócić na schody frontowe, lecz uniosła go na podwórze fala uciekających. Dopiero po dobrej chwili udało mu się wejść na frontowe schody, i w niszy przeznaczonej na figurę zdobniczą stanął na parterze. Chustką obwiązał ranę, w drugiej trzymał silnie odznakę ajenta tajnego i czekał pewny, że wkrótce zaczną przetrząsać domy i wówczas nie minie go nagroda przyrzeczona za schwycenie agitatora.

(Ciąg dalszy nastąpi).